

PION

CENA 50 GR

ROK VI NR 40(261)

WARSZAWA

9 PAŹDZIERNIKA

1938 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

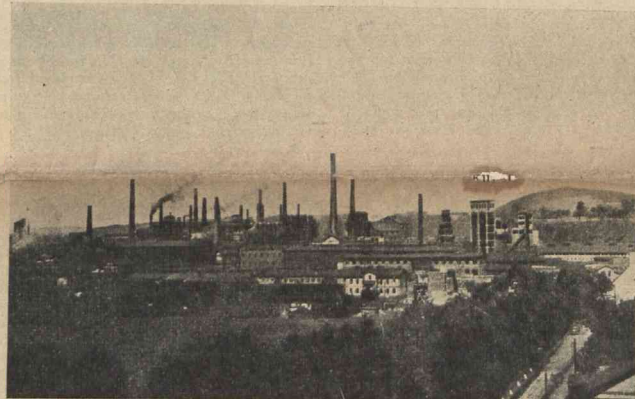
ELIZA ORZESZKOWA — AFORYZMY
ADAM BOCZKO — IRENA
LUDWIK FRYDE — KSIĄŻKA I CZASY
JERZY PLEŚNIAROWICZ — PIEŚŃ O ZAPOMNIENIU
K. IRZYKOWSKI, R. KOŁONIECKI — W TEATRACH T. K. K. T. I GDZIE INDZIEJ

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

O ZIEMI KTÓRA POWRACA

Wypróbowanym polskim sposobem walczył lub śląski zza Olzy prawo życia w granicach Rzeczypospolitej. Przeżyliśmy dopiero co ostatni tej walki moment, gdy rozpacz i uciemiężenie podyktowały środek ostateczny — zbrojne powstanie. Ale walka o wolność Cieszyńskiego zaczęła się na długo przed tym, nim usłyszano po północnej stronie mostu na Olzie pierwszy warkot karabinu maszynowego. Była ona bezgłośna, ale zacięta i wytrwała. W ciągu sześciu wieków oderwania od Rzeczypospolitej uległy wynarodowieniu rody ryckie i bogate mieszczaństwo. Ale lud — pozostawiony samemu sobie, z dala od wpływu inteligencji — nie uległ germanizacji. Oparł się także rozbudzonej w połowie ub. wieku fali czeskiej. Początkowo był to tylko niugięty ale bierny opór. A kiedy z łona jego wysła pierwsza kadra inteligencji, rozbudziło się w górniku karwińskim i cieszyńskim gaździe nie uświadomione dotychczas poczucie łączności z całym polskim narodem. Ten drugi etap walki rozpoczął się momentem prawdziwie epickim, gdy to Cinciala, wspólnie ze Stalmachem „dotarli do Krakowa i zebraли tamże spora ilość książek polskich, które od różnych osób darowane zostały. Z tych zebranych książek ułożono dwa tosy, związane je sznurkiem, włożono na grzbiety i tak obładowani wracali ciż młodzieńcy z Krakowa na Śląsk”. Rok 1848 przynosi ludowi polskiemu prawo zakładania szkół z wykładowym językiem polskim. Prawdziwą dźwignią rozwoju uświadomienia narodowego stała się Macierz Szkolna i gimnazjum w Cieszyńcu. W kilkanaście lat po założeniu Macierzy Szkolnej powstaje wzorowana na cieszyńskiej instytucji Matica Osvery Lidové. Walka, prowadzona dotąd przeciwko nacjonalizmowi niemieckiemu, staje się walką z Cze-

chami. Chociaż Czesi mieli przewagę w organizacji i zamożności, to przecież — jak stwierdzają pisarze czescy — język polski posuwał się zwycięsko ku zachodowi, w miarę jak w ludzie budziła się świadomość przynależności do narodu polskiego. Zrazu więc jest to „walka na szkoly”. Ale potem przychodzą inne jej formy, coraz zaciętsze. Wreszcie od lat dwudziestu lud polski musiał walczyć już nie tylko o szkoły, ale o najelementarniejsze prawa swego języka. Zrozumiałe jest w tych warunkach powstanie ogromnej i różnorodnej literatury o Śląsku. Dzieje tej ziemi, jej obyczaj i mowa były przedmiotem zarówno obiektywnych badań naukowych, jak i — znacznie częściej — namiętnych rozpraw publicystycznych. Wskutek warunków dziejowych najbardziej nawet ścisłe prace historyczne czy etnograficzne miały głęboki rezonans polityczny. Henri Grappin, albo August Schroeder czy Kurt Witt, albo jeszcze: Niederle, Adamus, Slama, Vochala, albo jeszcze: Kubisz, Londzin, Farnik, Popiołek — to nie tyle pisarze czy badacze, ile przede wszystkim współtwórcy losów tej ziemi, wyraziście jej dążeń, albo też adwokaci cudzych interesów politycznych. Literatura publicystyczna, w najściślejszym tego słowa znaczeniu stosowana, do wczoraj jeszcze pełna żywej, bolesnej aktualności, pozostanie odąd tylko dokumentem. Dokumentem wagi niemieckiej, albowiem poszczególne jej pozycje były pozycjami bojowymi w walce o polskość Cieszyńskiego albo w walce przeciw polskości. Paradoksalne się to może wydać, ale nie jest przecież od prawdy dalekie, że mimo tytułu różnojęzycznych foliów czy broszur Śląsk w szerszej opinii pozostał do dziś zie-



Huty żelazne w Trzyńcu

mią nieznaną. Nie mamy tu na myśli wiadomości encyklopedycznych, jakich całe szpalty znaleźć dziś można w dziennikach. Ze Bogumim jest ważnym węzłem kolejowym, że niektóre urzędzenia walcownicy trynieckiej zostały przejęte jako wzór przez ciężki przemysł amerykański, że węgiel karwiński jest gatunkowo jednym z najwyższych w Europie — o tym wiemy dziś wszescy. Ale nie przeniknęło jeszcze do świadomości ogólnej, że Zaolzie wnosi do organizmu naszej kultury bogate wiano swej kulturalnej tradycji, prastarego obyczaju i pięknej, przypominającej czas średniowiecza polszczyzny. Ukazanie tego pozostanie trwałą zasługą autora *Śląska za Olzą* — książki tak niespodzianie, tak ogromnie aktualnej¹. Wdzięczność prawdziwą należy wyrazić Instytutowi Śląskiemu w Katowicach, że w momencie takiego zainteresowania wszystkim co dotyczy Cieszyńskiego mamy do dyspozycji tę książkę, której nie podobna czytać bez największego wzruszenia.

ki-Laskowskiego są już przestarzałe, ale z prostego nawyku, gdyż ostatnie dni przyzwyczaili nas do ścisłego wymierzania aktualności, którą liczyło się już nie na dni ale na godziny. Ponieważ jednak autor — zbrojny w bogaty aparat literatury — odbywał swe wędrowki z wyraźnie określonym celem, opisy poszczególnych etapów jego podróży składają się na całość, którą śmiało można nazwać monografią Śląska Zaolzańskiego.

Intencją autora było przekonać się naoacznie, jak ta kraina przedstawia się pod względem etnograficznym. Dzieło mogłoby nosić tytuł: *Na tropach Smętka*, nie dlatego żeby w czymkolwiek przypominało książkę Wańkowicza, ale że zostało wywiedzione z tego samego kruszcza ideowego i że ukazuje ten sam sieroć do niedawna los polskości.

Nie będziemy się tu zajmowali zawartością treściową publikacji. Nie trzeba chyba stwierdzać, że książka tego typu jest nie tylko dziełem literackim, ale i czynem społecznym o nieocenionej wprost wartości. Nas *Śląsk za Olzą* interesuje przede wszystkim jako zjawisko literackie.

Formalnie biorąc, książka jest relacją z licznych wędrowek, jakie odbywał autor w r. 1936. Podkreślamy datę nie dlatego, żeby stwarzać sugestię iż spostrzeżenia Hul-

To założenie ideowe miało dla autora jedną ważną konsekwencję. Wędrowka śladami polskości była nie tylko brodzeniem poprzez bogactwo tutejszego folkloru, czujnym przysłuchiwaniem się mowie ludu, jego legendom czy pieśniom obrzędowym, ale z natury rzeczy musiała stać się podróżą poprzez czas. Ukazując dźwignie się do narodowej świadomości ludu zaolzańskiego nie mógł autor pominąć milczeniem tych wszystkich wysiłków, które tłumieniu tej niezmożonej polskości miały służyć. Albowiem równo z budzeniem się świadomości plebiennej rozpoczyna się proces jej niszczenia. Walka ta była prowadzona od dawna, a przybrała formy nieubłagane przed laty dwudziestu. Do polityki wynaradawiania wrpnęli Czesi aparat najsukuteczniejszy, bo ekonomiczny. Kto ma buty, ten ma szkołę — twierdził przecież z całą słusnością



Stare hałdy w Karwinie

¹ PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI: *Śląsk za Olzą*. Str. 493. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. Katowice 1938. Wyd. Instytutu Śląskiego. Skład Gł.: Nasza Księgarnia, Warszawa.

poeta „morawiecki“ Bezrucz. Wiemy dziś, że te wszystkie wysiłki były daremne, że raczej przyczyniały się do tym gorętszego manifestowania plemienia wspólnoty. Ale jeszcze niedawno, gdy do przekroczenia mostu na Olzie upoważniali dopiero paszport zagraniczny, do rozpacy mógł doprowadzać przychylny obserwator widok tej trudnej i coraz zacietrzewiałej walki o polską szkołę, o polski język, niemal o każdą myśl polską. Stąd



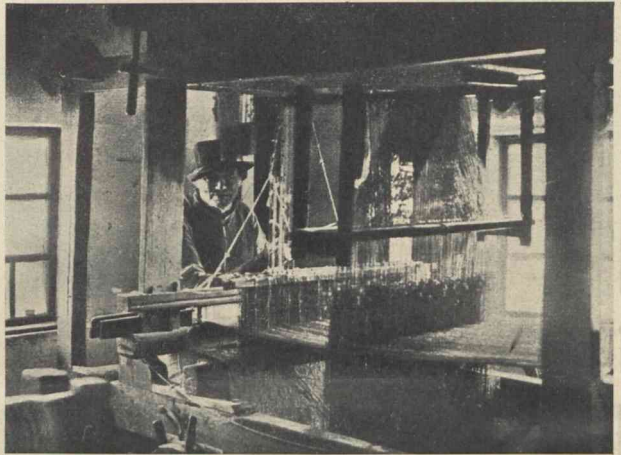
Krzyż przydrożny pod Stonawą

dzieła Hulki-Laskowskiego ma charakter apologetyczny. Jest nie tylko obrazem dzisiejszego stanu polskości Zaolzia i stanu jej zniszczenia, ale także wołaniem — tym wymowniejszym że powściągliwym, dyskretnym — o sprawiedliwość. Często bardzo ton elegijny autora jest w pełni uzasadniony. Ale cześniejszy jest znacznie ton polemiczny w stosunku do publicystyki czeskiej, a przede wszystkim w stosunku do czeskich staty-

sty. Albowiem przy niejednej okazji wypa- do rozprawić się z fikcjami etnograficznymi i historiozoficznymi autorów czeskich. Dla uzasadnienia metod postępowania z ludnością polską stworzyli niedawni tej ziemi dzierżawcy fikcję morawieństwa. Propagowaniu tej fikcji służyła nie tylko publicystyka ale nawet poezja, choćby wspomniany już Bezrucz. Walka z polskością miała być tylko oczyszczeniem duszy Ślązaka z nalotu dokonanej przed pięćdziesięciu laty polonizacji. Czytelnikowi polskiemu, dla którego teoria morawieństwa jest fikcją bezsporną, nie podlegającą najmniejszej dyskusji, wydać się nawet może, że autor włożył w swe dzieło aż za wiele polemicznej wytrwałości. Ale upór autora w ciągłym nawracaniu do tej sprawy tłumaczy się aż nadto wyraźnie.

Choć autor na każdym niemal kroku dotyka problemu czeskiej polityki narodowościowej, czyni to z niezmierną powściągliwością i wstrzymuje się od wypracowania jakiegos programu współżycia obu narodowości na terenie Cieszyńskiego. Ale niejednokrotnie ukazuje z punktu widzenia czeskich interesów państwowych konsekwencje tego stanu rzeczy. Że z tych konsekwencji Czesi nie zdawali sobie sprawy do ostatniej chwili, dowiodła ostatnia — zwycięska — faza walki o polskość Zaolzia.

Kompozytywnie Śląsk za Olzą jest zbiorem opisów poszczególnych wycieczek autora, do którego dodano kilka cennych rozdziałów syntetycznych, poświęconych życiu gospodarczemu i politycznemu, opisowi stroju i obyczajowi oraz analizie gwary ludowej i piosenki. Mimo świadomego wężenia pola widzenia do jednej, naczelnej, sprawy Zaolzia, w dziele swoim znalazł autor zaręczte tyle materiału, że stanowi ono prawdziwą monografię tej maleńkiej krainy. Mały tu i dane gospodarce, i statystyki składu narodowościowego poszczególnych okęgów, i opisy budownictwa czy stroju ludowego. Ten materiał rzeczowy został podany w sposób ścisły, niemal naukowy, daleki od publicystycznej czy literackiej egzaltacji. To wzbudza zaufanie do autora. Ucieśnienie polityczne czy gospodarce ludu przedstawia Hulka jakby mimochodem, np. przy okazji egzegzy socjologicznej licznych tutejszych legend, które zostały ukazane niejako w dwóch planach równocześnie: nie tylko jako twór fantazji, ale także jako wyraz pragnień i potrzeb człowieka. „Punk-



Tkacz - chałupnik w Jablonkowie

tem odniesienia“ legendy jest zawsze życie, jego troski i nadzieje. Zdumiewa bogactwo gadek i baśni w tym kraju człowieka trzeźwego i zamkniętego w sobie indywidualisty. Zdaje się wskazywać na to, że nie tylko Jablonkowskie ale i okęg karwiński był kiedyś krainą pasterzy — tym rezerwuarem poezji i legendy, jakim okłocie górzyste były zawsze w ciągu dziejów kultury. Polskości Zaolzia nie umysłowały nam w pełni skrzętnie statystyki, którymi autor posłużył się w sposób zbyt może mechanicznie, ale uczynił to przede wszystkim nastroj swojskości, jaki się tu zewsząd roztacza. Swojszczyzna zalamuje się zarówno w obyczajui i legendzie, jak i w pejzażu tak podobnym — z jednej strony — do krajobrazu Śląska Zielonego, a z drugiej — do zagłębia kopalni i hut.

Politycznie między trzy państwa do wczoraj rozdzielony, stanowi Śląsk (wraz z Opolszczyzną) kraj jednolity przede wszystkim pod względem narodowościowym, ale także jako zespół uzupełniających się wzajem rejonów o różnym stopniu uprzemysłowienia. Pod tym względem Zaolzie jest jak-

by miniaturą całego województwa śląskiego. O ile Jablonkowskie, czy nawet okęg czadecki, przypomina okolice Wisły i Istebny z ich bogactwem lasów jodlowych i bukowych, z niedzą ich kamienistej gleby, z szerokim rozsypaniem osiedli wzdłuż rzek i strumieni, o tyle znowu Karwińskie gęstością zaludnienia i wysokim stanem uprzemysłowienia podobne jest do Śląska Czarnego. O pewnej odrębności Zaolzia można mówić tylko w sensie przeciwstawienia go innym rejonom Śląska, który jak każda kraina podgórska jest ogromnie zróżnicowany. Wiek obcego panowania nie zdolał nadzarpanąć jego swarości narodowej i językowej. Na polszczyznę tutejszą nie oddziałal zupełnie język literacki. Pozostawiona samej sobie zachowała ona do dziś swój sędziwy, nienaruszony kształt, jak choćby ten urocy superlativus: roztończy. Śmiało można powiedzieć, że Polska z nazwy najmłodsza, którą pełni wzruszenia witamy właśnie w progach Rzeczypospolitej, jest jednocześnie z języka i obyczajui — najstarsza.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

AFORYZMY

W tych dniach ukaże się na półkach księgarskich trzeci tom *Listów Orzeszkowej*, wydawany staraniem Towarzystwa im. Elżby Orzeszkowej. Tom ten, stanowiący część drugą zbioru „Do literatów i ludzi nauki“, przynosi niezwykle bogatą treść, oświetla niezmiernie interesujące to społecznie i kulturalnie Polski powojnowojenne; dla „szarego“ czytelnika przynosi natomiast wiele głębokich spostrzeżeń, pięknych myśli, trafnych uwag nad życiem i psychiką człowieka. Z tomu tego wyjmujemy garść aforyzmów.

1

Wszędzie zapewne po trochu, ale na naszej ziemi stale i ogólnie biada tym, co serca swe uskrzydla, górą leca i prawdom życia w oczy patrzeć przywykają! Na drodze wysokich zadań, w surowych godzinach pracy i myślenia dziwny a straszny rozbrat bierze się z wielu, wielu zjawiskami świata, z którymi życie dalo nam ślub dożony.

2

Jeden i ten sam człowiek w dwu momentach swego życia stanowi dwie różne z sobą istoty.

3

Postacie, oblicza, brzmienia głosów, uczucia, związki, sceny natury i sceny życia, momenty serce i momenty dziejów — przemijają. Wszystko, no ziemskim jest, przemija. Nie każdy człowiek posiada uczucie przemijalności wszystkiego, co ziemskie, lecz którykolwiek je posiada, może niekiedy doznawać minut radości, ale nie może mieć ani jednego dnia takiego, w którym by nie miał godzin smutku.

4

Jednym ze źródeł szczęścia, z których pije młodość, jest nieświadomość przemijania i zmienności rzeczy i ludzi; jednym z najcięższych brzemion, które dźwiga wiek posunięty więcej naprzód — widmo przeszłości niepowrotnej.

5

Smutek najgłębiej i najtrwalej w tych osiada, którzy go ani gniewem, ani oskarżeniem wylewać z siebie nie umieją.

6

Bywają ludzie tak weseli i wesołocią tylko żyjący, że wszelki smutek, który zjawi się

w ich pobliżu, wydzielić usiłują z życia jak kroplę trucizny z napoju. Dość jest ukazać im twarz smutną, aby utracić miejsce w ich sercu; dość jest nasunąć im przed oczy rzecz smutną, aby pozabwić się ich obecności. I dziwnym jest to, że ci właśnie ludzie, najweselsi w świecie, zaprawiają świat największą dozą smutku.

7

Mądrość i smutek, to rodzeństwo od poczęcia zrośnięte z sobą sercami; bo kto nigdy smutnym nie był, mądrym być nie może, a kto jest mądrym, smutnym być musi.

8

Jest wiele takich szczęść negatywnych, których z przyzywania nie czujemy, a które uczuwać dopiero, gdy je tracimy.

9

Wielkie szczęścia przybývają niespodziewanie, a szukane uciekają.

10

Gdyby wszyscy posiadali trochę szczęścia, na świecie byłoby więcej dobroci; gdyby na świecie było więcej dobroci, wszyscy posiadaliby więcej szczęścia. Dobroć jak pług orze grunt pod szczęście; szczęście jak słońce rozwija z pąka dobroć.

ELIZA ORZESZKOWA

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

WIDOK

Nim doliczyli się wszystkich rozrzuconych po półkach oczu, pociąg każdym oknem sypał już po kilka widoków.

Ulatwały nieporadnie trzepocząc tylko połową widnokregu i zapadały razem z żytem, co jeszcze w locie aż po źdźbło okopawszy się ziemią z każdego kłosa wylotało przestrzeń.

Tylko jeden nieuważny czy ślepy upadł w otwarte wrota stacji i pozostał tak długo, że pasażerom powyrastały na twarzach po dwa sady owocowe.

Wtedy zawiadomeca z głosem ustrojnym w niedzielę rozmachawszy najpierw powietrze poczał wspólnymi siłami z maszynistą trząść budynkiem stacji, aż wytrzęśli schwytny widok i dwie baby.

Zacietrzewione gonily za nieszczęsnym i byłyby go ujęły na pewno, gdyby pociąg w ostatniej chwili nie rozzerwał ich na dwie pary rąk, długo jeszcze krwawiących ku sobie chustkami od nosa.

Z ZAGRANICY

Czeski Teatr Narodowy w Pradze zapowiada wystawienie w tym sezonie *Warszawianki i Nocy Listopadowej* Wyspiańskiego. Nie wiadomo — ze względu na obecną fazę stosunków polsko-czeskich — czy zapowiedź ta będzie urzeczywistniona. Wśród innych zapowiedzianych przez ten teatr premier zwraca uwagę m. in. *Krwawe wesela* Garcii Lorci.

Umarł Fryderyk Kariny, węgierski pisarz - humorysta. Humoreski jego bywały niejednokrotnie tłumaczone na polski.

Ukazała się nowa powieść Bernarda Kellermanna. Tytuł jej: *Das blaue Band* (*Niebieska wstęga*). Akcja tej powieści rozgrywa się na okęgcie „Cosmos“, w międzynarodowym środowisku jego pasażerów.

Jedną z bardziej czytanych i komentowanych rzeczy są obecnie w Niemczech i we Francji powieści angielskiego pisarza Karola Morgana. We Francji ukazały się przekłady dwóch, w Niemczech — trzech powieści. Ciekawa to istotnie proza i nie pozbawiona akcentów odkrywczości psychologicznej.

W miesięczniku *Wandlung*, ukazującym się w Zurychu organie ruchu panidealistycznego, znajdujemy w numerze ostatnim przekład dwóch fragmentów *Na wysokiej polonie* Stanisława Vincenza: *Ludzi lasowych*

i *Wieści o Wieltach* — *Sagen aus dem huzulischen Hochland: Das Waldvolk. Die Sage von den Wieliten*. Przekładu dokonała Myrrha Holzapfel.

Osobliwością jednej z nowych angielskich powieści kryminalnych, A. F. Whitleya *Dagerously Blonde*, jest to że dektetyw nie jest w niej bohaterem.

Świeżo odkryte listy i rysunki Van Gogha publikuje angielskie czasopismo *Burlington Magazine* w numerze wrześniowym. Listy te, z których dwa pisane są w języku angielskim, zawierają interesujące uwagi o poszczególnych impresjonistach, o Gauguinie, o sposobach pracy Van Gogha, o jego chorobie.

W lipskim miesięczniku literackim *Die Neue Rundschau* ciągnie się przez szereg ostatnich numerów dyskusja intelektualistów niemieckich o istocie człowieczeństwa i o antropologii. Otworzył ją w numerze czerwowym Werner Sombart, w dalszych numerach głos zabierają Marcin Dibelius oraz Karol Buchheim. Ten ostatni, w artykule zatytułowanym *Das Mass der Dinge* (*Miara rzeczy*), ujmuje sprawę ze stanowiska katolickiego. Przeprowadziwszy rozróżnienie między antropologią biologiczną i antropologią filozoficzną, pisze: „Grecja i chrześcijaństwo łączą się w twierdzeniu, że prawdziwa filozofia zaczynać się musi od antropologii, ale nie od badań nad człowiekiem jako zjawiskiem przyrodniczym, tylko nad jego osobowością w dziejach, a więc od poznawania człowieka myślącego, dążącego, czującego, człowieka uświadomionego sobie swą wolność i swobodnie działającego“.

Nagrodę im. Goethego otrzymał w tym roku poeta Hans Carossa. Nagroda ta była przyznawana za całość twórczości, jest więc uświetnieniem osobowości twórczej. Wreca się ją w dniu urodzin Goethego. Poetyckie i prozatorskie dzieła Carossy są jednymi z czystszych w niemieckiej sztuce. Carossa liczy obecnie lat 60.

Teatr miejski w Pradze wystawi w najbliższym czasie fantastyczny dramat Józefa i Karola Capków *Ze života hmyzu* (*Z życia owadów*), w opracie nowej muzyki scenicznej Mirosława Ponca.

LUDWIK FRYDE

KSIĄŻKA I CZASY

Giovanni Papini opowiada w swej autobiografii, że kiedyś w młodości zapragnął przeczytać wszystko, co ludzkość wydała w zakresie literatury i filozofii. W tym celu sporządził dokładny wykaz dzieł i systematycznie brał z polki bibliotecznego księgi do książki, z mocnym postanowieniem wykonania planu w całości. Nie było to łatwe zadanie. Wiek dziewiętnasty wyprodukował tak wielką ilość książek i z taką pieczołowitością chronił wszelkie zabytki literackie, że z biegiem czasu powstała z tego olbrzymia góra, przynajmniej sama najzuchwalszego śmiałka. Biblioteki rozrosły się monstrualnie; tomy książek, broszury, roczników czasopism, druków ulotkowych, jednolicie umundurowanych i ponumerowanych, pięły się po ścianach, biegły po równoległych półkach, mnożyły się w nieskończoność. W umysłach głębszych proces ten budził zadumę i niepokój.

„Otoż! — pisał przed laty Cyprian Norwid w *Milczeniu* — skoro spojrzymy na te szerokie i rozszerzające się jeszcze bardziej masy pełnego muru, a spojrzymy ze stanowiska starożytnych literatur, czyli, że tak rzekę, kilku ksiąg sanskryckich i zendyjskich, kilkudziesięciu greckich i rzymskich i hebrajskich j e d n e j i j e d n e j... zaiste, że sama się myśli, bezkłonnie ku temu, zapytuje, jeżeli nie: na czym skończyć ma ta nasza literacka plodność? to: na czym ona zatrzyma się i w co się odrodzi? — Będzie potrzeba, ażeby być jako tako, zgruba czytany, tyle pierwoczu sterać. Ile ich zapodziewa w księgach swoich mandaryn chiński, do ostatniego egzaminu przygotowujący się?!”

Łatwo to było przewidzieć: Papini nie wykonał swego planu w całości... Zalał się. I nie on jeden tylko. To samo doświadczenie, w mniej lub więcej ostrej formie, posiadało tysiące jego rówieśników w różnych krajach europejskich. Wychowani przez ojców w kulcie książki, w dogmatycznej wierze w wiedzę książkową, doznali wielkiego rozczarowania. Ulegając zgnębieniu namiętności czytania, które szybko staje się nalogiem niebezpiecznym jak alkohol, czuli z niepokojem, jak stopniowo zasypuje ich kurz biblioteczny, jak z konkretnie, żywej rzeczywistości wpadają w martwe abstrakcje. Stąd zrodził się protest, uczuciowy bunt przeciw książce, podniesiony w imię elementarnych sił i żywiołów w człowieku. Futuryzm, który wybuchnął na kilka lat przed wielką wojną, zwracał się z entuzjastycznymi apoteozami do maszyn nowoczesnych, w pogardzie mając muzea i biblioteki. Od niego przeciwieństwo „książki” i „życia” stało się hasłem bojowym na przegranych dwóch pokoleń. Obecnie dramaty książki doszedł do apogeum. W jednym z przodujących krajów Europy znaczną część zawartości bibliotek, jako rzeczy szkodliwe i niebezpieczne, spalono publicznie na stosie. Świat cały, świat wierzących w książkę czytelników, wzdrzygnął się na ten widok. Osadził, że jest to początek końca, zapowiedź upadku cywilizacji i powrotnego stania się ludzkości cywilizowanej w stan barbarzyństwa.

Kiedy się mówi i pisze o kryzysie książki (a mówi się o tym i pisze często), ma się zwykle na myśli kryzys finansowy, nie doceniając wagi o wiele donioślejszego i w dużym stopniu warunkującego sytuację ekonomiczną — kryzysu duchowego. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że współczesny dramat książki jest objawem zalamania się jednego z mitów, które stworzył wiek XIX. Ta wielka epoka w dziejach kultury europejskiej wydała mnóstwo prawd, które obecnie, w naszych oczach, runęły; stąpamy dziś jak gdyby po cementarzysku idei. M. in. ludzie XIX wieku wierzyli w książkę, widząc w niej środek nie ograniczonego rozwoju wewnętrznego jednostki. W społeczeństwie liberalnym człowiek nie ma przepisanego roli; za cenę wypełnienia pewnych, w miarę możliwości ograniczonych powinności, może robić ze swym życiem co chce. Ale tę swobodę trzeba było czymś zapełnić, dać treści wolności, i dlatego w wieku liberalizmu powstały różne mity i kultury, wyznaczające cele godne dążenia i warte osiągnięcia. Pisarze i filozofowie apoteozowali jako naczelne wartości życia miłość, przyrodę, ludowość, narodowość; niemale miejsce w hierarchii rzeczy cennych przysznawali także książce i czytaniu.

Mit książki objawił się w wieku XIX w dwóch postaciach. Romantyzm wyniósł książkę na piedestał ze względu na swój kult poezji i uczuciowości. Na poezję i uczuciowość nie istniało miejsce w ezarym, codziennym życiu — trzeba było życiu temu przeciwstawić świat inny, wolny od pęt rze-

czywości. Romantycy mit książki wynieśli w niej nade wszystko *narkotyki sztuki*. O, nie był to narkotykiem niewinny! „Książce, a znasz ty żywot Heloizy? Znasz ogień i łzy Wertera?” — pyta Gustaw księżka z czwartej części *Dziadów*. Te „książki zbrojce” rzeczywistości rozpalają serca i wyobraźnię; *Cierpienia młodego Wertera* niejednemu młodzieńcowi włożyły rewolwer do ręki. Romantycy byli nienasyconymi czytelnikami. Umieci żyć w rozmaitych kulturach, i przeczucanie się w wyobraźni z jednej do drugiej dawło im przewrotną rozkosz. Odkryli Wschód starożytny i Indie; zachwycali się antykami grecko-rzymskimi; mieli zmysł dla średniowiecza, dla pierwotnej kultury plemion północnych i ludowych cywilizacji słowiańskich. W tej epoce książka stała się cudownym instrumentem, wywołującym *uczucia kompensacyjne*; narkotyki sztuki dawały jednostce wyzwolenie z realnej egzystencji, która w miarę posuwania się wieku dziewiętnastego coraz bardziej grzeła w mieszczanekim filisterstwie.

Równocześnie jednak mit poezji, jako pożądanego narkotyku dla duszy (poezja była wtedy nie tylko utwory wierszowane o tematach fikcyjnych, ale w ogóle *książki*, również dzieła filozoficzne i przyrodnicze — Cuvier, koncepcje myślowe Slowackiego), tracił władzę nad duszami. Pozostał żywy dla niewielkich grup i odosobnionych jednostek, nie zadowolonych z trzęsawicy epoki pracy organizacyjnej. Z resztek tego mitu żyła najdłuższą powieść historyczna i kryminalna. Jeszcze dziś przenosi ona spokojnego mieszczucha, bez narazania jego bezpieczeństwa, w świat bohaterkiej przeszłości (*Krzyżowcy* Z. Kossak) lub nie mniej dla niego egzotywnych awantur, napadów i posągów z kroniki policyjnej (*Kochanek Wielkiej Niedźwiedzi* Sergiusza Piaseckiego). Ale w czasach dzisiejszych rolę wywołującą przeżyć kompensacyjnych z większym rozmachem i powołaniem spełnia nowy rodzaj sztuki: film.

Za to w połowie XIX stulecia pojawia się druga postać mitu książki. Książka zaczyna być ceniona jako dostarczycielka wiedzy; czytelnik uwielbia i upaja się w niej nade wszystko *narkotykiem poznania*. Był to przecież okres pozytywizmu; intelekt czczony był jak bóg. Jednostka, skrepowana w rozwoju cielesnym, psychicznym, społecznym, odkryła przed sobą nie ograniczone pole działania i postępu w pracy umysłowej, w uczeniu, kształceniu się i co z tym nierozdzielnie się łączy — w czytaniu. W ten sposób kult książki odżył na nowych i szerszych ugruntowanych podstawach. Powszechny w końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia pęd do samokształcenia stanowi najlepszy jego wyraz. Kult ten, jak wszelkie wierzenia, przy pozorach trzeźwości posiadał niewątpliwie pierwiastki mistyczne. „Już

przeszedł promień kultury i uderzył w zgniłe mroki!” — woła w *Promieniu* Zeromskiego antykwariusz Ławiecki. Dla uczniów klasycznego gimnazjum, opisanych w powieści *Szyfrowe prace*, słynna książka Buckle'a o cywilizacji była „niby nagły błysk pochodni, ukazujący wśród ciemności przedmioty, niewyraźne kształty i stosunek tego, co widzicie, do dalekiego, pełnego tajemnic przestworu”.

I ten jednak mit zbladł i zaniknął, podmyty falami potężnych prądów irracjonalistycznych, jak nietszcheizm, bergsonizm, pragmatyzm. Zaczęto przeciwstawiać wiedzy teoretycznej mądrość praktyczną; nastąpił okres — cytując tytuł niedawno wydanej w francuskim języku książki — *Kryzysu prawdy*. Wstrząsy dziejowe w ostatnim ćwierćwieczu w Europie *wytrąciły jednostkę ze stanu izolacji, w jakim znajdowała się w liberalnym wieku XIX*. A właśnie ta izolacja była źródłem kultu książki, powodem ucieczki z powszedniego bytu i oszołomienia się narkotykiem wiedzy i poznania. Podobna kompensacja zawsze jest aktualna dla niektórych grup ludzkich, dla wszystkich upośledzonych i cierpiących; w pewnych momentach rozterki ducha, od których niczyje życie nie jest wolne, książka staje się jedyną i nieocenioną pociechą. Ale w dobie obecnej te momenty z pierwszego planu spraw ludzkich przechodzą na periferie; rzeczywistość społeczna i kulturalna zmienia układ, jednostka nie wycofuje się już w swój świat wewnętrzny, ale w dużej mierze realizuje siebie w przeżyciach i dążeniach zbiorowych. Powstają szereg zupełnych nowych sytuacji duchowych, wobec których sytuacja czytelnika, upajającego się na cudzy rachunek romantycznymi uczuciami lub abstrakcyjnymi teoriami, wydaje się świadomością współczesnej pozycji niedojrzała, odpowiednią jedynie dla dorastającej młodzieży. I to właśnie oznacza upadek mitu książki.

„Gdzież jest miejsce dla ciebie w tym wieku zamętu — książko mądra, spokojna, stopie elementów — pogodzonych na wieki spojrzeniem artysty?” — pyta z gorzycą w głosie poeta współczesny Czesław Miłosz. I odpowiada z rezygnacją: „Już nam z twoich kart nigdy nie zaświeci mglisty — wcięzór na cichych wodach jak w prozie Conrada...” „My niespokojni, ślepi i epoce wierni — gdzieś daleko idziemy, nad nami październik — szumi liściami jak tamten łopotał standardem — Wawrzyn jest niedostępny nam...” Być może jednak, pesymizm tchnący z tych słów jest przesadny. Wszelki kryzys nie tylko burzy, lecz również buduje; czy nie odnosi się to również do książki? Zapewne, upadły nie odrodzą się dawne mity, współcześni młodzieńcy nie popelnia samobójstwa pod wrażeniem *Wertera* ani nie uczynią takich ślubów jak młody Papini. Ale miął

już także okres krańcowej reakcji na te wynaturzenia, skończyła się epoka pijanego irracjonalizmu i bezwzględnej przeciwności „czynu” i „myśli”. W nowej sytuacji historycznej, kiedy jednostki i grupy ludzkie przybierają aktywną postawę wobec rzeczywistości, pojmują zdobywanie kultury jako dźwiganie się na wyższy poziom życia we wszelkich dziedzinach czyli najogólniej jako *zdobywanie formy* — książka ma przed sobą wielkie zadania. Jej nieprzystosowanie do położenia, a zatem w konsekwencji jej brak w życiu społecznym może odebrać głębszy sens współczesnym przemianom ekonomicznym, socjalnym, obyczajowym; jej obecność jako czynnika żywego w dzisiejszych zmaganiach o przyszłość Europy jest w stanie podbić te zmagania na wyższy poziom, wysublimować rozpętane dziś żywiołowe energie na użytek prawdziwie humanistycznego ładu. Współczesna sytuacja książki polega, mówiąc krótko, na tym że książka musi przeżycia na inne miejsce, zacząć spełniać nową funkcję kulturalną. Dawniej lektura miała przeważnie charakter kompensacyjny, sztucznie wyswabiała jednostkę, wprowadzając ją w abstrakcyjny świat sztuki i wiedzy; dziś książka powinna formować umysłowość i uczuciowość czytelnika w kierunku nie odosobnienia lecz uspołecznienia.



Ważny pod uwagę współczesną książkę naukową. Zarysowuje się wielka rozbieżność w sytuacji jej dwóch zasadniczych typów. Książka przyrodnicza umiała przeobrazić się i zdobyć ponownie żywotność; przypomnijmy choćby serię „Biblioteka Wiedzy”, w której są rzeczy tak wybitne i znaczące dla czasów, które przeżywamy, jak *Człowiek, istota nieznamna* Carrela. Ale książka przyrodnicza — to mało; potrzebna jest, i to koniecznie, książka humanistyczna — wielka literatura historyczna, psychologiczna, moralistyczna, która kwitła np. we Francji XVII wieku. Takiej literatury dziś nie mamy i nie doceniamy jej potrzeby i znaczenia. Dlatego polska inteligencja powojenna wychowała się umysłowo i moralnie na „Kronikach tygodniowych” z *Wiedomości Literackich*, a młodzież obecna czerpie wzory postępowania i reakcji psychicznych nie tyle z domu i szkoły, ile z brukowanych piasek, kolportowanych na ulicach przy użyciu nowoczesnego aparatu propagandy.

A współczesna książka artystyczna? Jakież tu znowu pole do działania, do tworzenia działalności kulturalnej! Proza artystyczna ma do spełnienia funkcje rozległe: uprzytomnijmy sobie tylko rolę klasycznej typu powieści angielskiej lub francuskiej. Powieść uczyła wiedzy o człowieku i życiu, wprowadzała czytelnika w określone kategorie psychologiczne i moralne, w konkretną rzeczywistość kultury. A poezja? Czy wszyscy (z poetami włącznie) zdają sobie sprawę, że jest prawdziwą nową, a przy tym bardzo starą bo jeszcze przedromantyczną rolą jest — nie tyle dawanie czytelnikowi możliwości wyzycia się uczuciowego na cudzy rachunek, lecz *oczyszczanie* uczuć, czyli uspołecznianie ich, nadawanie im formy i stylu?

Współczesny kryzys książki nie jest więc wywołany tym, że książka przestała być potrzebna, ale raczej wynika stąd, że nie umie ona przystosować się do nowych warunków, nowych potrzeb, nowych sytuacji życiowych. A te sytuacje zarysowują się przed każdym współczesnym Europejczykiem z dnia na dzień coraz surowiej i groźniej. I coraz bardziej rośnie potrzeba *nowych książek* humanistycznych, prozaicznych, poetyckich. Kiedy zdamy sobie sprawę z położenia i potrafimy docenić wysiłek pisarzy i wydawców, którzy w miarę możliwości starają się przystosować swą działalność do wymagań trudnych i niezbyt widzących dla kultury duchowej czasów, w których żyjemy — wówczas zapewne będziemy nieco inaczej, niż potocznie się interpretuje, pojmować i oceniać symboliczny akt palenia książek na stosie. Będziemy widzieć w tym — niewątpliwie, samym w sobie barbarzyńskim i ponurym akcie — symbol *wielkiego przewrotu*, który z książki, bibliotecznego rekwiwitu, służącego izolowanemu jednostkom jako kompensacja prawdziwego i pełnego życia — uczynił z powrotem żywotną i groźną siłą kulturalną.

LUDWIK FRYDE

JERZY PLEŚNIAROWICZ

PIEŚŃ O ZAPOMNIENIU

pusto ustom

naulekane piarłokri wiorst na popielate nitki szos
wartki turkot kola omotal
turkotem potem odpowie most
we wrotach

traw śpiew

niewo nad nami ptakami
urześnioe urzosoew lilioew
ciągnęło listowia chrzest klęsk zarzdezwialy
olch smutno topione strugą szaruga dlugo lamie
mgłą o cierń ściernisk kalcząc
bywalo jasne dnialo

krzyż w ramiona rozstaje rowy rozlogi
ukrzyżowaną nieskończoność miedziami skłoni
uśmiechy zachwycen łąki
stokrotki sierotki
słońce

tyle pagórków jak mogił

traw śpiew

gorzko ale lazuru kielich
ziemię w głab huk
zwiąstowaly zwycięstwa wichrów kopyta ku nam
a nie
anieli
gdy hymn gorzał gorzej niż luna
tróióg

za siódmą rzeką zapomnienia
odgadnąć
dno

I R E N A

Wybiła godzina dziewiąta. Włożyła szybko palto, wzięła rękawiczki, torbę i rzuciła okiem do lustra, aby zobaczyć czy kapelusz nie jest skrzywiony. Bala się, że ktoś z domowników zapyta ją o coś i że ona nie odpowie, ale odburknie. Pragnęła, aby nikt nie domyślał się co się dzieje w jej sercu. Schodząc ze schodów, przypomniała sobie że nie zadzwoniła do doktora w sprawie pani Niuty. Sza szybko, nie myśląc wcale o tym jak wygląda. Przed oczyma miała tylko jeden obraz, wczorajszą scenę z Jerzym. Czy wczoraj rano mogła przypuścić, że coś podobnego się stanie. Że ona, Irena, będzie wyrzucona, w sposób tak nagły, tak ordynarny, taki niski. Stała na chwilę, nie mogąc na samą myśl o tym zrobić kroku. Przypomniały jej się sceny z ich życia. Chodziła z nim do cukierni Milsa i w owym czasie czuła się bardzo, bardzo szczęśliwa. „Wynosi się stąd” — krzyknął do niej wczoraj. I ona, Irena, wstała, ubrała się i wyszła bez słowa. I idąc do domu nie czuła wcale ani ogromu tego nieszczęścia, które spadło na nią nagle, ani ważności tego faktu, który się wydarzył w jej życiu. Nie myślała wcale o tym. Jedną myśl ją torturowała: nigdy, nigdy już nie będzie mogła wrócić do niego. Gdy wróciła do domu, weszła do pokoju, gdzie siedziała jej rodzina. Nikt nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. Usiadła i dopiero wtedy zrozumiała, co się stało przed chwilą. „Jesteś sama, zupełnie sama” — krzyczało w niej wszystko... „Dzień dobry pani — usłyszała głos pana Józefa, — spóźnił się, co?”. Oprzytomiała na chwilę i ze zdumieniem spostrzegła, że była już przed biurkiem. Siostra Jerzego krzychała do niego: „Pamiętaj, ona jest twoim nieszczęściem” — a ona, Irena, zdobyła się tylko na... „Pani przesada, pani Heleno, ja go tylko Kocham”. „Panno Ireno, zechce pani pomówić z panem Jerzym Braunem” — mówi szef. To imię „Jerzy” uderza ją w twarz nagle, brutalnie, bolesnie. „Czy kocha mnie” — pytała się Jerzego kilka tygodni temu, kiedy byli razem na jakiejś sztauce o „wielkiej” miłości. „Zalutujemy panu wszystko według pańskich życzeń, panie Braun”. Głos Ireny brzmiał obco, sama się dziwi, skąd do niej ten ton. „Jutro wyjeżdżamy na wieś, będziemy sami, zupełnie sami” — mawiał do niej tak często. W takich chwilach Irena jest szczęśliwa, pakuje najbardziej niezbędne rzeczy do walizeczki. Spotykają się na przystanku tramwajowym, często w chwili kiedy tramwaj właśnie odjeżdża. Jerzy się wtedy gniewa komicznie. „Pani jest najpodlejszą istotą pod słońcem — zaczyna scenę pani Heleno, — za chwilę Jerzy wyrzuci pania”. „Nie, panie Braun — mówi Irena myśląc o Jerzym, — ostatnim razem omłki nie było”. Pierwszy raz spotkali się w hotelu Kinga. Jerzy był ubrany w jasnoszary garnitur. Był piękny. Helena powtarzała jej bez przerwy: „Panno Ireno, mój brat wyrzuci pania, radzę opuścić ten dom przed jego powrotem”. Głos Heleny jest ostry, pełen nienawiści, szczygoczą. „Nie, nie pójdę stąd, zanim on nie przyjdzie”. „Pójdzie pani... —”. „Panno Ireno, co pani jest — słyszy nagle głos pana Józefa, — czy pani nie czuje?”. Oczy Ireny padają kolejno na twarz Józefa, na biurko, na interesantów. Irena dziwi się, że pana Brauna już nie ma. Kiedy odszedł, co powiedziała mu na pożegnanie? Nie nie pamięta. „Potworze — wola Jerzy, — czego chcesz od mnie, kochalem cię, ale już cię nie kocham”. „Panno Ireno, może pani usiądzie, może wody” — mówi Józef. Irena siada i bierze się do roboty, ale czuje, że coś w głębi serca ją boli, że coś się rozzerwało i jeszcze się rozrywa na drobniejsze strzępy. „Niech pani nie płacze, ktoś jeszcze spostrzeże” — głos Józefa jest cichy, poufny. „Ciebie jedną kocham” — mówił Jerzy tego wieczora, kiedy przyniosła mu krawat. „Czy nie ładny?”. „Piękny!” — wykrzykuje Jerzy. Bierze jej ręce i całuje. „Niech pani nie płacze, albo niech pani wyjdzie na chwilę” — szepc Józef dochodzi do niej jak z oddali. Irena wstaje i wychodzi. „Nie chcę cię więcej znać” — krzyk Jerzego dochodzi do jej serca, ostry, gwałtowny, pełen gniewu. Wyrzucił ją. „Przec stąd” — szepc Helena. Irena wraca na swoje miejsce, siada, pisze. „Co ja dzisiaj zrobię, a jutro, a pojutrze?”. Sama! Sama! Interesanci wchodzi i wychodzi. Irena nie wie, co mówić do nich. Rozmawia, notuje, telefonuje i widzi ciągle przed sobą Jerzego i jego siostrę. „Nigdy już tam nie wrócę”. Dawniej mogła się z nim widywać kiedy chciała, a teraz? Jaką klient absorbuje ją więcej. Na chwilę przestaje myśleć o Jerzym. Czuje się dobrze, jakby była wyswobodzona z jakichś pęt. „A może lepiej tak” — myśli. Z początku ukrywali się przed jej znajomymi. Wy-

jeżdżali często razem, układkiem. Nikt nie wiedział kim ona jest. Jej znajomi byli zupełnie z innego środowiska niż on, tak że nigdy jej nie spotykali z Jerzym razem. Mogliby żyć razem dobrze i szczęśliwie, gdyby nie... Ubiiera się do wyjścia. Już druga. Ma czas do czwartej, ale nie pójdzie na obiad do domu. Nie jest głodna, zresztą w domu wszystko ją denerwuje, a szczególnie telefon. Telefon był dla niej jednym z najważniejszych instrumentów, który ją łączył z Jerzym. Inna czekała na ten telefon, jak się czeka na zbawienie. Wiedziała o której godzinie on do niej zadzwoni i czekała tego dzwonka, pragnąc go z całych swoich sił. Nie, nie pójdzie do domu, nie będzie mogła jeść. Pokłóci się jeszcze. Po co? Pójdzie lepiej do Haliny — tak, do sklepu Haliny. O tej porze nie zawsze jest ruch w sklepie. Ale teraz jest kilka klientów. Irena jest z tego nawet zadowolona, siada i oczy jej padają na afisz koncertowy, umieszczony na ścianie przy drzwiach sklepu. Jerzy Chrzanow, skrzypek. „Jerzy”. Te duże litery tego imienia skaczą przed jej oczyma, wpijają się w jej mózg, w jej serce, w jej ciało. Cała jest wypełniona tym imieniem. Widzi twarz Jerzego, jego całego, widzi go w domu u niego, w biurze, na ulicy, przy niej, z nią. Obrazy przebiegają przed nią błyskawicznie i jeden obraz goni drugiego. Jego siostra, ich kłótnie, krzyki, ostatnia kłótnia. Wyrzucono ją, jak się wyrzuca służącą która pyskuje. „Co to, nie jesteś na obiedzie?” — pyta Halina. „Mama i służąca są niedziedne, więc jemy na mieście” — kłamie Irena gładko, z uśmiechem. „Wstąpiłam do ciebie, bo mam czas do czwartej”. Halina zaczyna opowiadać o sobie, ale Irena nie słucha, nie słyszy. Historie Haliny nie ją nie obchodzą. Ona straciła Jerzego na zawsze. Już nie zadzwoni do niej, już nie wyjdzie z nią. Ona już nie ma żadnego celu. Po co się ubierać, po co żyć. Dawniej, wczoraj miała jeszcze cel w życiu, ale teraz? Na afiszu wyraźnie się odejnia litery J-e-r-z-y. Co on robi w tej chwili? Myśli na pewno o tamtej. Czy ona, Irena, nie mogłaby nagle umrzeć? Tak by chciała umrzeć, tak by chciała przestać myśleć, tylko nie myśleć! Siedzieli w cukierni. Nosila jasną sukienkę. Pytała go się, czy jej lepiej w jasnym czy w ciemnym. Śmiała się. Nie wiedziała wtedy, że kiedyś spotka ją ten straszny eios. Litery na afiszu skaczą. W oczach jej są łzy. Ekspedientki kręca się co chwila i patrzy na nią. Chce wstrzymać łzy, ale nie może. Na szczęście wszystkie kobiety w sklepie są właśnie zajęte. Ale Irena już nie może usiedzieć. Już ją coś pcha naprzód. Ona musi odejść. Wstaje szybko, ociera łzy ręką, przechodzi przez sklep, rzuca przed Haliną: „Spiesz się, wstąpię wieczorem” — i wylatuje na ulicę. Jakis dziwny ból ją zjawia się nagle w jej sercu. Sama, zupełnie sama. Wróci do biura o czwartej, posiedzi do szóstej, a później? Później już nie będzie siedziała przy telefonie i czekała na dzwonek Jerzego. Już się skończyło, skończyło, skończyło. Irena wlatuje do jakiejś bramy i wybucha płaczem. Ktoś przechodzi i nie zwraca nawet na nią uwagi. Płacze teraz cicho. „Wyrzucimy pania, jak tylko Jerzy wróci” — szepc głos Heleny. I już na zawsze. Nigdy już tam nie wróci. Ciągłe te same myśli, ciągłe te same słowa jej brzęczą w uszach. „Nie chcę umrzeć” — krzyczy Irena w pustkę bramy... Wychodzi, idzie w stronę biura. Kiedy się zapoznala z Jerzym, wiedziała że on żyje w separacji, ale nie wstrząsało ją to wcale. Pokochała go całym sercem, wszystko przestała dla niej istnieć. Nie chciała od niego ani pieniędzy, ani brylantów, ani utrzymania. Była niezależna, bogata, miała bogatych rodziców. Pracowała w tym Towarzystwie Ubezpieczeń dla kapryśny, tak, aby mieć jakies zajęcia. Mogłaby przecież przedzić swoje życie w kawiarniach, ale nie chciała, właściciel nie miał tego usposobienia. Nie była pustą kobietą. Kochała go, ale bała się sama, że go utraci. Przewala jakieś nieszczęście. Była elegancka, dowcipna, czytana, kulturalna, inteligentna. Nie żądała od niego nic, co by mogło go urazić. Robiła wszystko, aby go zachować dla siebie. Nigdy nie mówiła, jak imie kobiety: „Podoba mi się to lub tamto”. Przeciwnie, to ona mu przynosiła od czasu do czasu jakiś mały prezent. To krawat, to wodę kolońską, to spinki. Przyjmował wszystko, śmiejąc się z jej wierności. Myślała, że to wzmożni jeszcze jego miłość do niej. Była głupia. Wierzyła w wieczną miłość. Myślała, że wszyscy są jak ona niewolnikami jednej jedynej miłości. Ale w każdym razie, na początku ich miłości nie było cienia między nimi. Irena robiła nie przeglad swojej miłości w skrócie, siedząc w biurze, nieruchomo, z głową opartą na rękę i uda-

jąc, że przegląda papiery. Chce znaleźć „coś” w tym okresie swego życia, co by wytłumaczyło obecny postępek Jerzego. Chce przypomnieć sobie coś złego o sobie. Coś, co by jej pozwoliło powiedzieć: „Oto co przyczyniło się do wyrzucenia mnie”. Ale nie nie znajduje. Boli ją to. Czuję się bardziej pokrzywdzona. Godzina posuwa się bardzo wolno. Tak samo jak wtedy, kiedy czekała na jego telefon. Wtedy też godziny wlokły się bez końca. Teraz nie ma się już do czego spieszyć. Nie ma już po co lecieć do domu jak dawniej, z myślą że może Jerzy zadzwoni wcześniej. Irena pragnie, aby jakiś klient wszedł i zrobił jakiś skandal, lub żeby stało się jakieś wielkie nieszczęście w biurze, lub żeby jakaś katastrofa się wydarzyła, aby ona tylko przestała myśleć, aby mógł jej przestać pracować, aby oczy jej przestały widzieć te sceny z jej życia, które teraz zjawiają się razem przed nią, tworząc dziwne jakies połączenie. Na tle tej ostatniej wczorajszej sceny, która nie wymazuje się ani na chwilę z jej pamięci, Irena widzi całą swoją miłość, o którą tak bardzo walczyła. Czuję, że im bardziej zbliża się godzina szósta, tym bardziej słabnie, głowa ją zaczyna boleć. Teraz, kiedy wie że zaraz stąd wyjdzie, czuje że jakiś lek, jakaś dziwna pustka ją ogarnia. W sercu zjawia się ból, coś ją ścisła. Nie! ona nie chce odejść. Chciałaby, aby praca w biurze nigdy się nie skończyła. Ale czas się zbliża. Już wszyscy wychodzą. Irena ubiera się powoli. Wychodzi. Pragnie dużo światła, ruchu, szumu. Nie myśleć! Idzie, nie, leci do głównej ulicy, oświetlonej, widnej jak w dzień. Ludzi jest pełno, ale ona nie widzi nikogo. Chciałaby się upić, oszołomić, zapomnieć. Kochała go całym sercem i oto pewnego dnia spostrzegła, że on już jej nie kocha, że myśli o innej, że ma inną. Z początku płakała, prosiła, błagała, robiła wszystko aby go odebrać od tamtej. Ale nie nie pomogło. Nie mogąc się od niej odczepić, wziął do pomocy swoją siostrę. Oboje wzięli się do niej. Gdy przychodziła do niego, on albo ona kazali jej odejść. „Nie ma pani po co przychodzić, wszystko się skończyło”. Wybuchali między nimi sceny, kłótnie, które się kończyły jej porażką. Chodziła za nim jak cień, siedziała go, zaczęła na ulicy. Czekala na jego powrót przed jego bramą godzinami, marzała, mokła na deszczu. Nie chciał z nią mówić, albo mówił do niej ordynarnie, traktował ją jak ostatnią ułecznicę. Zgadzała się na wszystko, ale czuła, że jej nie już nie pomoże. Poszła do tamtej, błagała ją, ale tamta ją wyśmiała. On ją utrzymywał. Nie miała zamiaru go opuścić. „Póki go trzymam, nie puszczę go” — powiedziała jej. A wczoraj próbowała jeszcze raz przemówić do niego. Wyrzucili ją najwięcej w świecie — ją, Irenę, córkę dyrektora, dumną Irenę, tę Irenę, która z nikim nie chciała mówić, nikogo nie chciała znać, Irenę z dyplomem uniwersyteckim, elegancką pannę Irenę, o którą ubiegali się elegancy panowie. W domu jej rodziców nikt o niczym nie wiedział. Nikt nie domyślał się nawet, z kim ona chodzi, z kim żyje. Wyrzucili ją jak sukę. Irena opiera się o ścianę jakiegoś domu i wybucha płaczem. Ludzie przechodzą patrzą na tę elegancką kobietę, płaczącą. Ale nikt się nie zatrzymuje. Każdy ma swoje zmartwienie. Irena nie wydzieli się swoich łez. Cóż ci ludzie mogą jej pomóc? Sercu rozkazywać nie można. On już jej nie kocha. Ale ona, ona go kocha. Co będzie! Co będzie! Irena chodzi bardzo szybko, prawie pędzi. Czy wróci do domu? Przecież Jerzy już nie zadzwoni — a może... Przez chwilę ludzi się, nawią: „Ależ nie, on już od miesięcy nie dzwoni”. Co ona przez ten czas nie wycierpiała! Żyła, bo walczyła jeszcze, ale teraz nie ma już po co walczyć, i tak przegrała. Co z nią się stanie? Nie chce wrócić do domu, gdzie czuje pustkę. Ani rodzice, ani rodzeństwo nie zastąpią jej Jerzego. Znajomych nie ma, przestała się z nimi widywać, kiedy była z Jerzym. Co to był za piękny okres! Spotykali się wieczorami, w ogrodach, na ulicy. Szli do kina, do teatru, na koncert. Czula się dobrze, czasami przekomarzała się z nim, że go zdradzi. Śmiała się z tego. Oparła się o parapet, stała na moście. W wodzie odbijały się światła. Dreszcz przeszedł ją nagle. Było jej zimno. Uchwyciła się rękoma parapetu. Był lodowaty. Ale te ręce, które on całował co wieczór, te ręce teraz nie czuły nawet zimna. Była obojętna na wszystko. Gdyby wiedziała, że Jerzy z nią pomówi, polecałaby do niego, przebaczyłaby wszystko. Plakałaby z radości, zapomniałaby co było. Ale ona wiedziała, że nigdy, nigdy on już do niej nie wróci. Serce jej się ścisnęło. Nie mogła nawet zapłakać. Wzrok jej przesunął się po

wodzie. W głowie jej się zakręciło. Czy nie należało skończyć z życiem? W tej chwili pomyślała o domu. Co myśli jej matka, czy nie niepokoi się z powodu jej nieobecności przy obiedzie? Która może być godzina? Powróciła do miasta. Sza wolno. Może za telefonować do domu i powiedzieć, że wkrótce przyjdzie, że była zajęta w biurze. Zresztą czy matka naprawdę niepokoi się o nią? Nigdy w życiu nie kochała, ale też nigdy nie była szczęśliwa. Zawsze czuła, że coś jej brakuje... Miała wszystko, materialnie zazdroszczono jej. Studia ukończyła z odznaczeniem. Ale nie była podobna do innych nowoczesnych panien. Nie lubiła się bawić. Nie lubiła dancngów ani kawiarni. Pragnęła miłości, a właściciel chciałego kochać. Myślała, że wtedy też ją pokochają. Wierzyła o człowieku wolnym, za którego by wyszła za mąż z miłości. Ale los chciał inaczej. Nikt jej się nigdy nie podobał. Dopiero zjawienie się Jerzego... Pokochała go gwałtownie, nagle, nie wiedząc kiedy i jak. Od razu zaczęła się spotykać codziennie. Miłość ich rozwinęła się żywiołowo. Zanim się spostrzegła, już czuła że nie będzie mogła żyć bez niego. I od tej chwili zaczęło się dla niej życie pełne udręki. Zwykle umawiali się na jutro. On telefonował do niej wieczorem, a ona wtedy wychodziła z domu. Spotykali się w umówionym miejscu i szli gdziekolwiek. Wszystko jej było jedno, gdzie — byle tylko z nim. Cały dzień czekała na ten wieczór. Nie dla niego nie istniało. Zerwała ze wszystkimi swoimi znajomymi, z nikim się nie komunikowała. Życie jej składało się z jednej jedynej myśli — myśli o Jerzym. Ale cierpiała przy tym jak nigdy. Myślała ciągle o tym, że on może ją opuścić, może wyjechać z inną, może nie zadzwoni. Minuty wydawały się jej godzinami. „Dlaczego on jeszcze nie telefonuje? Może wyszedł z inną?”. Serce jej biło, w głowie jej szumiało. Słuch jej stawał się ostrzejszy. Każdy krok w dzwonek, każdy człowiek ją raził. Tylko ten dzwonek telefonu istniał dla niej. „A może on nie zadzwoni?”. Wchodziła wtedy do drugiego pokoju i płakała. I tak co wieczór. Jakże często pragnęła umrzeć nagle, aby nareszcie to się skończyło. Zdawało się, że on nie telefonował. Wtedy przez cały wieczór chodziła jak nieprzytomna. Nie spała całą noc, a nazajutrz rano leciała do niego, oczekiwała go w bramie, gdyż wydziła się pójść na górę z powodu jego siostry. On wychodził, pytała się, dlaczego nie telefonował. Kłamał, że musiał pójść za interesem. Wierzyła mu i życie płynęło dalej. On zdradzał ją od czasu do czasu, ale wracał do niej. Jak strasznie cierpiała z powodu tych zdrad bez zناعenia, ale wolała cierpieć, niż go utracić. Stała na chwilę na środku trotuaru. Znowu była na jasno oświetlonej ulicy. Te wspomnienia wyceperpały ją. Chciałaby uścisnąć i ogrzać ją, przez chwilę miała zamiar wejść i krzyknąć, że zawałała się. Czula, że nie będzie mogła przelknąć lyku herbaty. Poszła dalej. Czy będzie mogła zapomnieć? Pójdzie do domu, ale wszystko jej przypomniało Jerzego... Nie, na pewno nie wytrzyma. Zaczęła wolno płakać. Chciała pójść do matki i wypłakać się przed nią. Ale nie umiała mówić z matką o rzeczy, o której ona nie ma pojęcia. Przecież jej matka nie wie o Jerzym. A gdyby nawet zrozumiała ją, to czy ona jej pomoże? Czy ona zmieni serce Jerzego? Dawniej myślała, że zawsze znajdzie sposób, aby nie utracić Jerzego. Teraz czuje, że była głupia myśląc o takich niemożliwych rzeczach. Nie ma nawet do kogo iść, przed kim się wypłakać. Jej koleżanki zdziwiłyby się, gdyby nagle do nich przyszła. Czuję się sama, zupełnie sama. W dzień to jeszcze nie. Biuro, obcy ludzie, ale pora obiadu, a szczególnie wieczór, długi, długi wieczór. Ona będzie myślała o tym co on robi, gdzie się znajduje, z kim przebywa, do kogo się śmieje. Nie, to ponad jej siły. Opiera się o ścianę i zaczyna głośno, szmatycznie płakać. Teraz ludzie patrzą na nią. Irena boi się zbliżawości. Odrywa się od ściany i odchodzi przedko. Nikt jej nie goni, nikt się więcej nią nie zajmuje. Ona jest niepotrzebna nikomu. Znajduje się teraz przy kościele. Jakaś żebraczka siedzi na schodach. Irena dochodzi do schodów i siada. Zimno ją przemuje. W tej chwili czuje się bardziej nieszczęśliwa od tej żebraczki. W dali słychać dzwonek przybliżającego się tramwaju. „Wynosi się stąd” — rozlega się nagle w jej uszach głos Jerzego. „Nienawidzę pania” — szepc pani Helena. Irena podnosi się szybko. Ten krzyk Jerzego szumi jej w uszach. Tramwaj zbliża się coraz bardziej. Irena jest już przy nim. Kiedy żebraczka krzyknęła, zegar zaczął wydzwaniać godzinę dziesiątą.

W TEATRACH T. K. K. T. I GDZIE INDZIEJ

TEATR NARODOWY: *Szkola obmowy*, komedia w 5 aktach Ryszarda Brindsley Sheridana. Przekład i opracowanie Wilama Horzycy. Reżyseria: A. Zelwerowicz. Dekoracje i kostiumy: W. Daszewski.

P. Nalkowska zabawiła się raz w Chesterona i napisała paradoksalny esay *Obrona plotki*. Ze plotka ma znaczenie i wartość socjalną, ponieważ, wyrządzając jednostce przykrość, zmusza ją jednak do liczenia się i do przystosowania się do społeczności, zawiera w sobie sąd. Sąd, ale jaki? Bergson to samo mówił o społecznej roli śmiechu. Ale w toku wywodów poprawił się i przyznał, że śmiech może być także głupi i niesprawiedliwy. Nie da się obronić plotki, da się ją co najwyżej wytłumaczyć i badać. Tönies, znakomity socjolog niemiecki, napisał grubą książkę — nie o plotce, lecz nawet w ogóle o opinii publicznej i doszedł do wniosków potępiających.

Za czasów Sheridana — *Szkola obmowy* napisana była w 1777 r. — nie miano wątpić co do wartości plotki, autor od razu zajmuje front przeciw niej — „chłosezce” wadę ludzką, tak samo jak chłosezce obłudę. Dzisiaj autor staralby się bodaj na chwilę ukazać jakiś dobre strony plotki, albo jej potęgę. To drugie zrobił hiszpański dramaturg Etcheagaray w sztuce *Galteoto*: plotka, wyprzedzając skandal erotyczny, kojarzy parę miłosną. W sztuce Sheridana plotka jest tylko tem obyczajowym, nie zagadaniem. To tło jest barwne i urozmaicone, ale nie widzimy „szkoly” — takiej jak np. *Szkola żon*. Tylko lady Snerwell jest plotkarką z zasady, mści się, bo sama niedyś przez plotkę ucierpiała. Inni plotkują dla przyjemności.

Od plotki przełodził autor bardzo proko do obłudy i tu jest już w swoim żywiole. Jego Tartufem jest Karol Surface, młody karierowiec, egoista i świntuch. Zostaje zde-maskowany i otrzymuje zasłużoną karę. Dzieje się to za sprawą intrygi, powiedzmy: białej intrygi, bardzo żręcznie przez autora przeprowadzonej. Kontrastem do Karola jest jego brat Józef, lekkoduch ale szlachetny chłopak (dwaj bracia o różnych charakterach byli wówczas w dramaturgii bardzo modni, niemiecki okres „Sturm und Drang” zużył znaczną ich ilość). Ten również zostaje wystawiony na próbę charakteru, ale wytrzymując ją i dostaje nagrodę. To przebrany stryjasek bogacz, zamistyfikowany się, wybalad obywateli.

Rekwizyty dramaturgiczne — dziś stare, ale użyte świetnie, żwawo i w szczegółach pomyslowo. Np. ów stryjasek jest wprawdzie *deus ex machina*, ale — sam jest również zabawną a nie imponującą. Ktoś zauważył słusznie, że sztuka ta jest z każdym aktem coraz lepsza. Ale główną jej zaletą jest pyszny i obfity dowcip — Sheridan, Irlandczyk, naprawdę był poprzednikiem Shawa. To daje tej milej komedii, granej w kostiumach stylowych, reżyserowanej na „ryzyk”, posmak nowoczesny. Jest dziecinie, masyż zabawniejsza np. od *Wesela Figara*, *Cyrulika sewilskiego*.

Spółka wystawienia *Szkoly* i gra chyba zadowolili wszystkich. Tylko I akt był nieco mdły i niewyraźny, z powodu za wielkiej gorliwości grona plotkarzy, zebranego u lady Snerwell. Opowiadają oni o swoich bliźnich kawały, lecz śmieją się już zawczasu przy ostatnim słowie, które przez to dla słuchacza przepada i słuchacz nie rozumie. Tak nie wolno. Rozumiem, że plotkarz sam się bawi i kawał swój wypredza śmiechem, ale i widz chciałby się bawić. Należy to pogodzić i nie robić — niepotrzebnie — sztucznej atmosfery humoru. Na specjalną wzmiankę zasługuje p. Śliwiński jako dobry brat w kapitalnej i zachwycającej scenie sprzedawania swych przedków. Z nowych sił zasłużył jeszcze na pochwałę pp. Kajzerówna i Kurylkówna.

KAROL IRZYKOWSKI

TEATR MAŁY: *Rozwiedźmy się!* komedia w 3-ach aktach Wiktoriana Sardou i E. de Najaca. Przełożył Antoni Cwojdzkiński. Reżyseria: Aleksander Wegierko. Dekoracje: Stanisław Śliwiński. Kostiumy: Zofia Wegierkowa.

Człowiek prywatny, zamknięty w ramach drobnej komórki społecznej, jaką stanowi rodzina, jest ulubionym przedmiotem analizy niemal wszystkich pisarzy francuskich. Ani samotność jednostki, ani też zjawisko z przeciwnego biegu: ruchy wielkich gromad społecznych, groźne tajemnice życia zbiorowego, zbiorowych psychoz, namiętności i idiosynkrazji — nie bywają tak częstym tematem literatury dramatycznej i powieściowej we Francji. Francuzi zawsze lubią oglądać człowieka z jak najdogodniejszego dystansu, z którego obserwuje się

wszystko bez przeszkód a bez użycia skomplikowanych nadmikroskopów artystycznych. Sprawy małżeńskie i rodzinne poprzez cały wiek XIX znajdowały się na porządku dziennym w dziesiątkach warsztatów literackich; ta tradycja znajduje swe przedłużenie — i to bez ważniejszych odchyśleń — w wielu książkach, wydanych w latach na wet ostatnich: dowodem chochy *Marliza Braibanta*, *Małżeństwo Plisniera*, książki Lucie Delarue - Mardrus, *Mazeline'a i Mauriaca*, a także wielkie cykle powieściowe Duhamela, Romainsa i Martin du Garda. Trzej ostatni — im cieńszymi warstwami odrzadzają się od życia powojennego, które im narasta pod pięciami — czują coraz silniejszy nacisk od strony innej płaszczyzny badawczej, innej problematyki spraw pojedynczego człowieka. Coraz częściej muszą stawać w obliczu zakrytych prawd, które odcyfrować pozwala jedynie jakaś pasja socjologiczna.

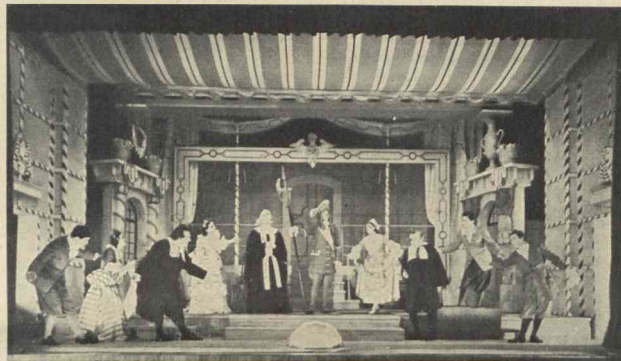
Małżeństwo, instytucja rodziny: oto świętości ustrojowe w oczach pisarzy ubiegłego stulecia. Mówię rozmyślnie: „instytucja”, bo związek zeswolewieczonej literatury francuskiej z... kodeksem Napoleona nie był wcale tak nikiły i paradoksalny, jakby się mogło wydawać. Literatura walczyła o taką hierarchię podstawowych związków międzyludzkich, jaką ów kodeks w swej ideologii zawierał. Ideale moralne zazwyczaj wyprzedzają ideale realizujące się w normie prawnej; lecz bywa i odwrotnie. Świadczą o tym może właśnie literatura francuska zeszłego wieku, rozwijająca się tak równoległe z rzeczywistością, tak niewieloletnio do niej dostosowana w rytmie swej praktycznej mądrości. Sardou jako autor komedii granej w Teatrze Małym jest obrońcą nierozważności małżeństwa, obrońcą powagi wielkiej instytucji, owej „wspólnej śpialni”, o której z nabożnym westchnieniem mówi u Pawlikowskiej *Enma Zehrydowiecka*. Po wielu latach sekundować mu w tym będzie tak — zadołowało się — chewicie polujący na aktualność, tak związany z koniunkturą powojenną pisarz, jak Bernstein: przypomnijmy sobie jego *Serce*.

Ale argumenty i kontrargumenty Sardou nie są ważne, nie mają szerokiej mocy obowiązującej, nie wygrałyby w prawdziwej walce, bo miały wygrawc i wygrawca dotychczas — w teatrze. Komedia Sardou przyczynko rozwodom aktualna i pełna uroku jest nie jako problem, ale jako forma teatralna. Tak błyskotliwie prowadzi intrygę, tak uparcie i konsekwentnie kierował ją do niespodzianego finału, tak bezbrosko balansował na krawędzi nieprawdopodobnych prawdopodobieństw potrafił tylko mistrz miary Sardou. Co za dialog, co za wspaniałe splatanie sytuacji, jakie bogactwo nabrańskich komizmów! Sardou buduje swe komedie jak doskonały architekt, któremu nie obca jest zarówno estetyka fasady, jak i dokładne obliczenia kubatury lub celowe rozplanowania wnętrza. Oczywiście, architekt Sardou nie porwa się na gmachy monumentalne: zna zbyt dobrze zakres własnego talentu. I jeszcze jednej cechy niesposób mu odmówić: wiedzy o człowieku, dyskretności mądrości dyspozycyjnej, która sprawia że śmiech wywołany przez niego nie jest pusty i nie kończy się ostreściami ziewaniem. Ten wirtuoz konstrukcji scenicznej zna życie i umie je pomieścić w swoich utworach, nie odzierając im znamion lekkiej zabawy, czarującej gry, arcylogicznej kabaly. Sardou, pionier wczesniejszej czystej formy w teatrze!

Reżyser Wegierko zbyt wydłużył pauzami i nianusami sytuacyjnymi akt III, który jest w komedii najlepszy i najbardziej jasny. P. Romanówna wygrała pisanego Cypryanni nieco za trywialnie, ale poza tym ma sceny pierwszorzędne. P. Wojtecki od czasu występów w Teatrze Malickiej bardzo się rozwinął. Pp. Grolicki, Buczyńska i Malkiewicz-Domańska dali epizody trafnie podrywane i wykonane. Rola panny Lusignan jest już drugą czy trzecią doskonałą sylwetką charakterystyczną p. Hanny Parzywiewalnej. Wnętrza p. Śliwińskiego konwencjonalne, ale dobrze dostosowane do możliwości szerepczej sceny, jaką rozporządzał.

TEATR ATENEUM: *Świętoszek*, komedia w 5-ciu aktach Moliera. Przełożył Tadeusz Boy-Zeleński. Reżyseria: Stanisław Perzanowski. Dekoracje: Władysław Daszewski. Muzyka: Feliks Rybicki.

Teatr, który przystępuje do wystawiania Moliera z gotowym przeświadczeniem, że dzieła jego są nieśmiertelne bez względu na czas i miejsce, w którym realizuje się je na scenie — staje w obliczu poważnego niebezpieczeństwa: łatwo może zapomnieć o tym, że nieśmiertelność Moliera nie sta-



„ŚWIĘTOSZEK” MOLIERA W TEATRZE ATENEUM
DEKORACJE: WŁADYSŁAW DASZEWSKI

nowi w teatrze abstrakcyjnego pewnika, lecz jest faktem, który za każdym razem należy na nowo udowodnić, zaopatrywać w arsenal świeżych argumentów. Argumenty te muszą wynikać z aktualnych przesłanek ideowych życia teatralnego i tych refleksów rzeczywistości, z którymi teatr liczyć się musi, jeśli w każdym swym przedstawieniu chce być teatrem *współczesnym*. Ranga wielkości, nadana jakimś dziełu przez kompetentne czynniki, ma w historii literatury znaczenie o wiele trwalsze, niż w historii teatru.

Gdy Teatr Narodowy przed dwoma czy trzema laty wystawiał molierowskiego *Mieszczucha szlachcicem*, odczułem bardzo wyraźnie, że snobistyczna pasja pana Jourdain jako wizja teatralna jest już zbyt prymitywna i że od czasów Moliera została już wielokrotnie i przez życie i przez literaturę dramatyczną zdystansowana. Snobizm topogłowy mieszczucha przedzierzgał się niespodzianie w problem społecznego awansu jednostek czy środowisk, w problem o palącej aktualności, który we współczesnej swej postaci przefiltrował się przez takie utwory, jak trylogia Rostworowskiego czy choćby *Dzieje salonu* Rostwoyńskiego, i tylko w tej postaci, *dzisiejszej*, może nas głębiej wzruszyć. Nawet jako obraz przedwzrostu namiętności ludzkiej perypetie pana Jourdain mogą nas dziś tylko bawić — i to wtedy, gdy zabawa jest dobrze zaaranżowana.

Podobne wrażenie wywarł na mnie obecnie *Świętoszek*. Bigoteria i hipokryzja stały się od dawna w życiu społecznym grzechami powszechnymi, przekroczyły swym rezonansom moralnym progi domów prywatnych, zaciążyły w sposób straszliwy na coraz bardziej powikłanych stosunkach międzyludzkich. W przekrojach psychologicznych jednostek obraz cech tych odbiegł daleko od pierworzodu Tartufo'a, pomnożył się o nowe rodowody i środki ekspresji, skryształował w wielu nieznanych przedtem narosłach i dziwotwarach duchowych. Terazniejszych świętoszków i hipokrytów nie poznać po chytrze rozbieganych oczkach Tartufo'a, po jego fałszywie ocukrowanym głosie i gestach nienaturalnych, maskujących prostactwo i drapieżność.

Tartufo, totem domostwa Orgona, interesuje dziś raczej z punktu widzenia — powiedzialny — historycznego: jako osobliwa konfiguracja eks-galernika z *Nędzników* Hugo, Jeana Valjean, który u Moliera za wrócił po ucieczce z galery na tę samą drogę, która go na galery zawiadła. Zaciekawia nas również w *Świętoszku* — środowisko, tak niedostatecznie socjalnie i psychicznie zdefiniowane... i owa tajemnicza szkatulka, w której przeliterowani Orgona powierzył mu dowody spisku knutego przeciw królowi, a może nawet przeciw absolutyzmowi w ogóle... Sylwetki Tartufów dzisiejszych wyglądają we Francji tak, jak pokazał je nam w *Szkole obłudy* Romains. Toteż świętoszek molierowski istnieje dla nas tylko w ramach swego czasu, w ściśle określonym pejzażu obyczajowym i kulturalnym, który wskrzeszać może jedynie w trawestacji artystycznej — w irrealnym spojrzeniu wyobraźni, w muskularnej falistości wiersza, w plastyce świata anachronizmów.

Koncepcja sceniczna *Świętoszka* w Teatrze Ateneum nie zawdzięcza swego po-

wstania jednolitej, męskiej decyzji. Ani p. Perzanowski jako reżyserka ani p. Daszewski jako scenograf nie uszregli się w swych osiągnięciach znamion połowiczności. Dekoracja p. Daszewskiego jest zbyt harmonijna i gustowna, jak na budę jarmarcznej teatrzuki, a zarazem posiada zbyt aluzyjną i schematyczną konstrukcję, jak na wnętrze zamożnego domu burżuazji czy pólzłachty francuskiej z XVII-go wieku; w oczach widza ocala ją dyskretny dowcip i pełna smaku barwność. P. Perzanowska oparla się w budowaniu pojedynczych sytuacji na wybujałych schematach farsy, zresztą żywych i pomyslowych, natomiast figurę Moliera wstrzyknęła zbyt dużo pragmatyzmo-zyciowej prawdy i autentyzmu psychologicznego. Ucierpiał na tym przede wszystkim wiersz — szarpany i kaleczony przez aktorów, którzy chcieli na gwałt nadać mu ekspresję realistyczną. Wiersz utoniony poprawnie mięci w sobie tylko tyle barw uczuciowych, ile ich zawierała miarowa i ścisła budowa. Nie trzeba być wcale pedantycznym „liczytopą”, by twierdzić, że służy on do hamowania rytmiką nagłych efektów realistycznych, do zestrainiania ich w całość innego rzędu, niż zwykły potoczny dialog.

Środki wyrazu, którymi rozporządza Jaracz, są tak bogate, że pogłębia on mimo woli wszystkie otwarte przez siebie role, zamiast marionetekowych trocin ukazuje nieraz anatomicznie duszy; tak stało się również z Tartufem. Tartufo Jaracza jest tak prawdziwie i wzruszająco ludzki, że chwiliami przedstawia być śmieszny, podświadomie budzi współczucie i sympatię. W scenie z Elmirą po mistrzowsku wypadł w interpretacji Jaracza zmysłowy, nieoponowany porwy krewnieckiego chama, nazbyt długo z konieczności tłumiony. Nawet fałszywa pobłażliwość i skromność Tartufo'a prowokuje naszą pozbliżność i usmiech rozgrzeszenia. Jaracz zbyt dobrze ujął jego rzekome enoty; jest to zresztą wcale niepotrzebne: wystarczy przecież, że wierzy w te enoty głupi Orgon i tępą staruchą, pani Prunelle. W opozycji do roli Jaracza był Orgon p. Chmielewskiego — zamaszty, rozkrzyżczony, blaznowaty; szkoda tylko że odziedziczył po przeznaczonej *Damie* z *Panny Malickiej* przez ciępiłą kresowy akcent.

P. Perzanowska (pani Prunelle) za mało miała w sobie jędrzości i ograniczenia zgrzytliwej matki Orgona, tyraniżującą całą dom, a w Tartufo'a wpatrzoną z pokorą i podziwem jak w obrazek. W Dorynie p. Jaraczówny nie czuliśmy tego humoru i na przemiany chłodnego rozsądku, dowcipu i na przemiany chłodnego rozsądku, dowcipu i na serdeczności, jakie cechują subretki Moliera. P. Bonacka pięknie porusza się w miasternych sukniach, ale w akcji komediowej była dość papierowa i bezbarwna. Niedole Marianny — p. Nobisówny — do złudzenia przypominały smętne losy tej dziewczyny z *Szóstego pietra*, która p. Nobisówna grała jeszcze niedawno. P. Pościółkowski zbyt „współczesnił” Walerego, uczynił z niego tuzinkowego amanta, bez „stylowego” wdzięku i aparycji. W epizodach ukazał się pp. Kalinowicz, Łuszczewski, Danilowicz i Lemasiński. Jednym przejściem przez scenę na brawa zasłużył Warwyncie (p. Zelski), jak również nie wymieniona w programie aktorka w malej roli malej Filipoty.

ROMAN KOŁONIECKI

OGRÓD - K. DAKOWSKIEGO w Bagateli
KAWIARNIA

jest najmlszym miejscem spotkań elity towarzyskiej stolicy

KONCERT dwa razy dziennie — DANCING — COCKTAIL BAR — WYSTĘPY ARTYSTÓW

BYŁE Z METODĄ!

Zaden może z wynalazków, z ostatnich triumfów techniki i ducha ludzkiego, nie był poprzeczony takim nieświadomym oczekiwaniem, tak nie cierpiącym zwłoki zapożyczeniem społecznym — jak właśnie radio. Płóć owych „zamówień społecznych”, które radio wykonywać musi, jest już teraz niezliczona, a przy tym wzrasta z dnia na dzień, popychając myśl ludzką do dalszych badań, kontynuacji i nowych odkryć. Mikrofon staje się powoli czynnym po prostu niezbędnym w powszednim trybie życia zbiorowego; za pomocą coraz doskonalszych urządzeń radiofonicznych zaczyna się realizować w jak najszerszym zakresie cele, które przed społeczeństwem stają. Obok funkcji informacyjnych i bezpośrednio dydaktycznych radio spełnia rolę propagandową i uświadamiającą we wszystkich niemal dziedzinach, obsługując zbiorowość w jej zarówno pionowych jak i poziomych przekrojach, t. zn. uwzględniając zarówno pojedyncze regiony jak i środowiska w swej szerokiej, wielotorowej akcji.

Drugi, na których radiofonia szuka realizacji powziętych zamierzeń, nie są jeszcze dokładnie wytrasowane, formy ekspansji radiowej nie zostały jeszcze wyczerpane, wyboru i hierarchizacji metod jeszcze nie ukończono. Wielogodzinny program codzienny poszczególnych rozgłosni jest zmienną i wymagającą ciągłych stopniowych koordynacji mozaiką, którą stanowią różne typy audycji. Wyrażenie jednak można by oddzielić audycje, oparte na założeniach artystycznych, od pozostałych, których zadania i punkty wyjścia leżą raczej w dziedzinie pozartystycznej, — które nie są aktami samej twórczości, lecz wtórnej działalności kulturalnej. Tak np. Teatr Wyobraźni obowiązki propagandowo-wychowawcze uwzględnić może tylko w tym stopniu, w jakim uwzględnia je — powiedzmy — dobra literatura, dobry film, dobry teatr, dobra muzyka. Oddziaływać doraźnych i bezpośrednich przyjmować

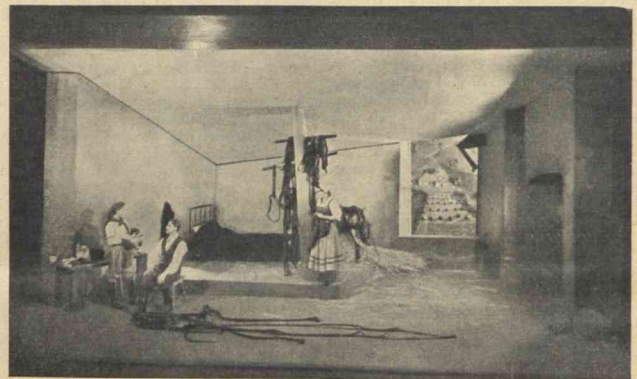
na siebie nie lubi, niechętnie idzie w służbę konkretnych instytucji czy konkretnych idei.

Nadane w ub. czwartek (30 września) słuchowisko Jerzego Misińskiego i Antoniego Bohdziewicza p. t. *Na srebrnym weselu* jest pod tym względem ciekawą nowością: nie rezygnując z osiągnięć artystycznych, autorzy zapragnęli dać audycję propagandową poświęconą L. O. P. P., jej celom i pracom aktualnym. Już sam moment polityczny mógł sprzyjać zainteresowaniu, jakie słuchowisko tego typu może budzić; ale nie tylko ta osobliwa okoliczność koniunkturalna każe się nad utworem Misińskiego i Bohdziewicza zastanowić: oto mamy próbę stworzenia nowej formy radiowej, działającej poprzez konstrukcję artystyczną i zastępowanie np. suchy odczyt propagandowy, którego zapowiedź odsunęły na pewno wiele osób od odbioru.

Inna rzecz, że *Na srebrnym weselu* jako jednorodna całość nie jest niestety stuprocentowym sukcesem. Sztafaż artystyczny, czyli to co w sposób prawdziwie godny maskować miało utilitarny cel audycji — był tu zbyt powierzchownie dostosowany do owego celu. Przysłowiowe sztyldo musiało wyłożyć z worka, gdyż worek był kiepsko uszyty. Wiadomości o bombowcach i samolotach pościgowych, o zaporach balonowych i schronach, o celach i obecnym pracach L. O. P. P. były rozumnie dobrane i wmontowane w tło akustyczne „srebrnego wesela” (muzyka, wiaty, rozmowy, strzępy prelekcji radiowej itd.), lecz nie były w fabule słuchowska elementem integralnym, nie tylko rzeczowo lecz i artystycznie wylegitymowanym. A jednak samą formę, na razie nieudaną, oceniam pozytywnie. Ta próba wymaga stanowczo kontynuacji. Powodzenie tego typu słuchowisk jest chyba pewne, byle zachować w nich równowagę czynników utilitarnych i czysto estetycznych. Najpierw trzeba by pomyśleć nad ustaleniem jakiejś bezbłędnej metody.

Z. P.

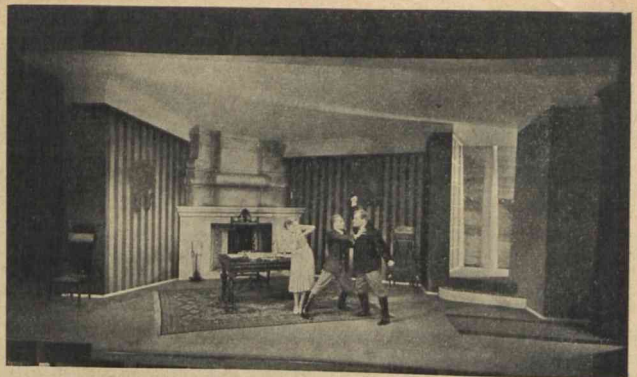
ŚWIETNE PRZEDSTAWIENIE

„BRATNIE DUSZE” ROSTWOROWSKIEGO
W TEATRZE NOWYM

AKT I (pp. Lubieńska, Żukowski, Niwińska)



AKT II (pp. Dominiak, Roland, Lubieńska)

AKT III (pp. Lubieńska, Roland, Dominiak)
DEKORACJE: ST. CEGIELSKI. REŻYSERIA: A. CWOJZDIŃSKI

„PRZEGLĄD FILOZOFICZNY”

Drugi tegoroczny zeszyt *Przeglądu Filozoficznego*, który wyszedł w terminie opóźnionym, z datą 15 sierpnia, przynosi — poza rozprawami przeznaczonymi dla specjalistów — także parę artykułów zdolnych zainteresować i co więcej, dostępnych dla szerszego ogółu inteligencji. Do artykułów tych należy rzecz Stanisława Witkiewicza „O protagorejskim typie umysłowości”. Autor *Pożegnania jesieni*, przybrawszy rolę filozofa, nie stracił temperamentu polemicznego; z zapalem gromi przedstawicieli Kola Wiedeńskiego, Russella, Eddingtona, głosząc wbrew tym „protagorejszynom”: „Według mnie faktem pierwotnym jest istnienie celensych monad tj. przede wszystkim nas samych, osobowych, czujących się od środka i złożonych też z monad, tj. organów i komórek. Od tego należy wyjść, a nie od hypostaz jakiegos czezoś „psychicznego” i czezoś „fizycznego”, bo to prowadzi do wyżej opisanych impasów; a dalej należy starać się rozbudowywać doświadczalną ontologię ogólną”.

Ciekawy też i pobudzający jest artykuł dyskusyjny Ludwika Flecka. Autor pisze: „Nie wiem, czy uzasadnione jest twierdzenie, że „na ogół ludzie normalni w danych warunkach spostrzegania skłonni są uznawać takie same twierdzenia”. Doświadczenie uczy, że ludzie nie szkoleni w pewnych rodzajach obserwacji uznają w danych warunkach bardzo rozmaite twierdzenia”. I w konsekwencji „nie można rozpatrywać poglądów w oderwaniu od całokształtu kultury danego społeczeństwa w określonej epoce. Punktem wyjścia musi być zespół ludzi współżyjących, a taka metoda prowadzi przede wszystkim do socjologii myślenia, która mogłaby być nauką porównawczą obejmującą najogólniejsze ujęcia”. „Teoria stylów myślowych uwalnia od wielu zastarzałych przesądów i odsłania ogromne dziedziny godne badania. W tym znaczeniu, to jest dla jej roli uwzylądającej i heurystycznej, uważam że jest ona prawdziwa”.

NOWI MILIONERZY

Jak wiadomo, główna wygrana czwartej klasy 42-ej loterii klasowej — milion złotych, padła na numer 92055. Właścicielami poszczególnych piątek tego numeru są mieszkańcy Lwowa, niezamożni, utrzymujący się z pracy, bądź to umysłowej, bądź fizycznej.

Spośród szczęśliwego grona nowych milionerów wymienimy przede wszystkim p. Annę Szado. Pani Sz. jest od dwunastu lat gospodynią u pewnego emeryta wojskowego i cieszy się opinią doskonalej pracownicy. Na loterii klasowej gra od lat czterech, ale dotychczas trafiały się jej tylko najmniejsze wygrane. Gdy otrzymała wiadomość o fortunie, jaka na nią spadła, wpadła w stan oszołomienia, które jej dotychczas nie opuszcza. Na pytanie, jak zamierza rozporządzić pieniędzmi, p. Sz. odpowiedziała, że ofiaruje pewną sumę na dokończenie budowy kościoła w swej rodzinnej parafii, wspomże swą rodzinę, pozostającą w ciężkich warunkach, poprze pewne cele społecne

czne i narodowe, zwłaszcza F. O. N., a za resztę kupi domek, by zapewnić sobie spokojną starość.

Pan Aleksander Wojciechowski jest pracownikiem umysłowym. Wygrane sto sześćdziesiąt tysięcy złotych, po spełnieniu obowiązków obywatelskich, przeznacza oczywiście na stworzenie własnego warsztatu pracy. Jest przekonany, że „siedemnaście milion” przyniesie mu trwałe szczęście w jego dalszym życiu.

Pan Władysław Beras: myśli także o założeniu własnego przedsiębiorstwa handlowego i zakreśla sobie bardzo szorstkie plany.

Pan Zdzisław Pregowski, to student architektury, a zarazem śpiewak, znany słuchaczom radia pod pseudonimem Zdzisława Alby.

Wszyscy milionerzy zaopatrzyli się niezwłocznie w losy do pierwszej klasy czterdziestych loterii, by wziąć udział w ciągnięciu, które rozpocznie się 19 października.

JÓZEF PIŁSUDSKI
W ILUSTRACJI FOTOGRAFICZNEJ

Instytut Józefa Piłsudskiego, poświęcony badaniu najnowszej historii Polski, zawiadamia że podjął prace nad przygotowaniem nowego wydawnictwa pt. *Józef Piłsudski w ilustracji fotograficznej*. Wydawnictwo, kilkutomowej objętości, stanowić będzie celowe uzupełnienie niedawno wydanych *Pism Zbiorowych* Marszałka. Zawierać ono będzie możliwie wszystkie fotografie Józefa Piłsudskiego, dokonane w kraju i za granicą, w układzie chronologicznym, opisane pod względem treści, czasu i miejsca.

Ze względu na specjalny charakter wydawnictwa Instytut prosi wszystkich, którzy posiadają jakiegokolwiek mało znane fotografie Józefa

Piłsudskiego, aby zechcieli przesłać je do Instytutu lub też zawiadomili o posiadaniu takich fotografii. Po wykorzystaniu zdjęcia fotograficzne będą zwrócone bezwzględnie właścicielom, przy czym w wydawnictwie będą uwidocznione nazwiska ofiarodawców fotografii. Instytut gwarantuje, że zdjęcia będą zwrócone w stanie nieuszkodzonym. Byłoby pożądane, by nadsyłające fotografie załączali do nich szczegółowe objaśnienie treści zdjęcia, miejsca i czasu powstania.

Instytut prosi o nadsyłanie fotografii przed dniem 1 listopada br. pod adresem: Instytut Józefa Piłsudskiego w Warszawie, Aleje Ujazdowskie 1.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Koloniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński